



Mirosław Derecki

FRYZJER Z KARPACKIEJ BRYGADY (2) :

„SZCZUR TOBRUKU”

Szef dywizjonu - chłop zahartowany w bojach, nieczuły na pustynny klimat, gorące hamsiny, z filozoficznym spokojem znoszący wszechobecność skorpionów i tarantul - załamał się dopiero w Tobruku. Ów kryzys psychiczny spowodowany był nie nawałą ogniową niemieckiej artylerii albo kolejnym nalotem bombowym - rzeczami tutaj zwyczajnymi, ale... nagłą, gwałtowną ulewą.

Od dwóch miesięcy żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich nie widzieli kropli słodkiej wody. Sakramentalna angielska „tea”, mimo że obficie zaprawiana skondensowanym mlekiem i rumem, cuchnęła morskimi wodorostami, miała gorzko-słony smak - urządzenia filtrujące wodę czerpaną wprost z morza, jakoś nie zdawały egzaminu. I oto naraz tej wymarzonej, słodkiej wody było pod dostatkiem. Zbyt dużo nawet. Skalistymi tobruckimi wąwozami waliły rwące potoki, zalewały ukryte w rozpadlinach gruntu samochody z żołnierskim dobytkiem, odcinały wyjścia z pieczar, w których gnieździł się ludzie. Zreumatyzowanego, niezdolnego do poruszania się kapitana Tarkowskiego żołnierze ledwie zdołali wyciągnąć z pieczary - woda zalewała już pościel łóżka, na którym leżał.

Woda znikła prawie tak samo szybko, jak się pokazała. Została wchłonięta przez porowaty, skalisty grunt lub przez piasek pustyni. Część wody ocalała. Wypełniała teraz kanistry, bańki i żołnierskie manierki. Ludzie z rozkoszą golili kilkutygodniowy zarost, przemywali powieki zaskorupiałe od ropy. Cieszyli się. Tylko szef Pytka siedział na stopniu półciązarówki i płakał jak dziecko. W ulewie rozplynał mu się list pochwalny od generała. Żołnierze, jak żołnierze - zamiast współczuć, pozwalali sobie jeszcze na złośliwości - „co woda dała to i zabrała” - a to starego doprowadzało do wściekłości. Było jakoby w tych żołnierskich docinkach sporo racji, bo oni przecież dobrze znali kulisy heroicznego czynu, za który szef został nagrodzony. A było to tak: zanim szef został szefem, pełnił funkcję zastępcy płaćnika Brygady i do niego należało strzeżenie sum, z których wypłacano żołd. Gdzieś na samym początku pobytu polskich jednostek w Tobruku szef wyruszył na pokładzie niewielkiego okrętu wojennego z Aleksandrii do oblężonej twierdzy. Wiózł z sobą masywną, drewnianą skrzynię wypełnioną pieniędzmi na wypłatę. Wkrótce po wyjściu z portu okręt

został storpedowany. Szef wypadł za burtę i wśród pływających wokół szczątków starał się rozpaczliwie znaleźć stały punkt oparcia. Wreszcie uczeplił się jakiegoś kołyszącego się na falach przedmiotu. Gdy nadciągnęły jednostki ratownicze i szefa wyłowiono, okazało się, że przez cały czas trzymał się „swojej” skrzyni z pieniędzmi... Dowództwo nie wnikało w szczegóły... i szef otrzymał pochwałę „za strzeżenie mienia Brygady”.

Do grona świadków całej sprawy zaliczał się również kapral Zygmunt Filipowicz z Lubartowa, dowódca „dwudziestopięciofuntówki” w trzecim dywizjonie pierwszego pułku artylerii lekkiej Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Już od roku, od 1 września 1940 r., gdy po ucieczce z węgierskiego obozu dla internowanych i długiej podróży przez Jugosławię, Grecję, Turcję i Morze Śródziemne, trafił do polskiego obozu wojskowego w Latrum w Palestynie - służył Filipowicz w SBSK. Nie zaliczał się przecież do najstarszych żołnierzy jednostki. Gdy przybył do Latrum, Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich, lub jak ją nazywali Anglicy - „Polish Independent Brigade Group”, istniała od ponad czterech miesięcy, miała za sobą okres pobytu w Syrii i przeżyła dość dramatyczne chwile, gdy rząd francuski podpisał zawieszenie broni z Niemcami i brygadzie groziło rozbrojenie. Udało się jej jednak przejść do Palestyny, która stanowiła protektorat angielski.

Po pobycie w Palestynie a następnie w Egipcie, w Aleksandrii, gdzie w pierwszych miesiącach 1941 r. brygada zastała wyposażona w nowoczesny sprzęt, w kwietniu miała ona wyruszyć do Grecji. Tymczasem na teatrze pustynnym od 11 kwietnia nastąpił kryzys. Już wcześniej 31 marca, Brytyjczycy ponieśli porażkę na południe od Bengazi, teraz 11 kwietnia, Australijczycy zniknęli się w Tobruku, 12 kwietnia podła Bardia, w kilka dni później Sollum i Capuzzo, wreszcie Niemcy przekroczyli granice Egiptu. Wojska imperialne obsadziły obozy warowne Mersa-Matruh i Baggush, broniące dostępu do delty Nilu. W Egipcie liczył się każdy żołnierz. Więc zamiast w Grecji, 24 maja 1941 r. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich znalazła się razem z brygadą Południowo-Afrykańską w Mersa-Matruh.

Tymczasem w Tobruku trwały ciągle walki. Główne siły, które się tutaj zamknęły, stanowiły: 9 australijska dywizja piechoty generała Morshaeda, kilka brytyjskich pułków artylerii i słaba brytyjska brygada pancerna. Od 14 do 24 kwietnia załoga Tobruku odparła szereg natarć niemiecko-włoskich. Kolejne poważać uderzenia miały miejsce w dniach 1-19 maja. Gdy w sierpniu zaczęto luzować kompletnie wyczerpanych kilkumiesięcznym pobytom w twierdzy Australijczyków, wybór padł między innymi na SBSK. Polski pamiętnikarz zanotował:

Umocnienia okalały Tobruk półpięścieniem o długości mniej więcej 50 km i promieniu ok. 15 km. Końce tego półpięścienia opierały się o morze, dochodząc doń głębokimi jarami, przecinającymi drogi do Bardii na wschód i Dery na zachód.

Włosi zbudowali tę twierdzę, wykorzystując bardzo umiejętnie skaliste wąwozy, wykuwając podziemne schrony i stanowiska bojowe umocnione betonem. Obok nich istniały prowizoryczne stanowiska ziemne. Całość stanowiła szereg kolejnych ośrodków oporu, odrutowanych, ubezpieczonych rowami, polami minowymi i pułapkami. Oblegały Tobruk wojska włoskie i niemieckie w sile 4 dywizji.

19 sierpnia 1941 r. dywizjon artylerii, w której służył Zygmunt Filipowicz, został skierowany do portu w Aleksandrii. Angielski stawiacz min przyjął pod pokład około 200 żołnierzy. Wewnątrz okrętu panował nieopisany ścisk, wszystkie pomieszczenia zawałone były skrzyniami z amunicją, obowiązywało ścisłe zaciemnienie, brakowało powietrza. Duchota wzrosła prawie nie do wytrzymania, gdy podczas burzy, która nadciągnęła z północy, zaryglowano wszystkie wyjścia na pokład. Nie przyzwyczajonym do morskich podróży żołnierzom wydawało się, że lada chwila okręt pójdzie na dno. Nie przyczyniał się też do podniesienia nastroju fakt, że płyną do Tobruku.

Kiedy śruby przestały pracować i otrzymali rozkaz wyjścia na pokład, na zewnątrz było prawie tak samo ciemno jak pod pokładem... Była jedna z niewielu w miesiącu noc pełnej ciemni księżycowej, jedyny czas, kiedy do tobruckiego portu mogły względnie bezpiecznie zawijać statki. Zanim wyszli na pokład, głos płynący z megafonu kilkakrotnie przypominał żołnierzom, aby nabrali do manierek wody. Dziwiła ich ta troskliwość. Nie wiedzieli, że następną porcją słodkiej wody otrzymają dopiero wiele miesięcy później.

Filipowicz poczuł, że ktoś bierze go za ramię i prowadzi w kierunku relingu. Tam wymacał stopą szczebel drabinki linowej schodzącej w dół burty. Na dole przejęły go czyjeś inne ręce i sprowadziły na tratwę. Transport na ląd odbywał się nadal w całkowitej ciemności i w milczeniu. Teraz już jednak przyzwyczajonymi do ciemności oczyma rozróżniał zarysy stojących w porcie okrętów i jeszcze większej ilości - wraków. Na lądzie podjechały australijskie ciężarówki, załadowali się, po kilkunastu minutach jazdy kazano im wysiadać. Tam, gdzie wysiedli, nie było ani baraków, ani namiotów, ani schronów. Kierowca powiedział jedno słowo: „sleep” - śpijcie, wdrapał się do szoferki i pognął z powrotem w kierunku portu po następną partię żołnierzy.

Zasypiając w tę swoją pierwszą tobrucką noc na piasku pustyni, przykryty jedynie cienkim kocem, słyszał kapral Filipowicz wycie zapuszczanych silników samolotowych. Nie były to jednak samoloty brytyjskie. Ich lotniska znajdowały się w odległości 300 kilometrów. Głos niósł ale z położonych w pobliżu linii frontu lotnisk włoskich i niemieckich. Zaś żołnierze znajdujący się na pierwszej linii, mieli nierzadko możliwość słyszeć rozmowy dochodzące z okopów nieprzyjacielskich - w niektórych miejscach okopy rozdzielał zaledwie osiemdziesięciometrowy pas odrutowanej przestrzeni.

Już 22 sierpnia karpacki pułk artylerii rozpoczął działania bojowe w odpowiedzi na atak nieprzyjaciela i wówczas też nowo przybyli przekonali się naocznie, jak trudne są warunki

walki w tej twierdzy. Nie było w Tobruku punktu niedostępnego dla ciężkiej, dalekonośnej artylerii. Z pobliskich lotnisk łatwo było wrogowi w każdej chwili podnieść w powietrze i skierować w odpowiednie miejsce potrzebną liczbę samolotów. 1 września Polacy przeżyli pierwszy wielki atak z powietrza. Brało w nim udział 120 „Dornierów” i „Stukasów”.

W jednym ze swych przemówień Winston Churchill nazwał Tobruk cierniem w boku nieprzyjaciela. O ostrości tego ciernia stanowili w znacznej mierze także Polacy. Odcinek frontu, jaki zajmowała SBSK, liczył dwadzieścia kilometrów długości, polscy żołnierze tkwili tu - obok Australijczyków - najdłużej, bo aż cztery miesiące, zaś w najniebezpieczniejszym miejscu, tzw. „wyłomie” utrzymali się aż 10 tygodni, ustanawiając tym swoisty rekord wobec 4 tygodni spędzonych tam przez Australijczyków.

Speaker rozgłosił BBC opisując zmagania obrońców twierdzy z nieprzyjacielem nazwał ich górnolotnie „lwami Tobruku”. Sami obrońcy nazywali się bardziej dosadnie - „szczurami Tobruku”. Określenie to wzięło się od ogromnej ilości szczurów, które dla żołnierzy stanowiły prawdziwą plagę.

Opisowi wydarzenia, które najbardziej zapadło w pamięć kapralowi Filipowiczowi podczas pobytu w Tobruku, można by nadać tytuł: „Bateria śmierci”.

Obok własnych dział, pułk wykorzystywał również „zdobyczne” haubice pozostawione kiedyś na terenie twierdzy przez Włochów. Skompletowano spośród żołnierzy obsługę dwóch baterii i posłano je na najbardziej wysunięte stanowiska. W jednej z tych baterii, zwanych powszechnie - „włoskimi”, pełnił funkcję działonowego Zygmunt Filipowicz. Któregoś dnia otrzymali z pułku rozkaz pozostawienia haubic i natychmiastowego powrotu do swych dywizjonów. Z Aleksandrii przyszły właśnie uzupełnienia sprzętu, teraz nie było komu obsługiwać własnych dział.

Dowódcy Filipowicza śpieszno było do wykonania rozkazu - może z uwagi na dokuczliwy obstrzał, pod jakim od kilku dni znajdowała się bateria. Upychał więc ludzi i lekki sprzęt na przybyłej ciężarówce w ten sposób, aby wszystko zabrać „za jednym razem”. Byle to wbrew zdrowemu rozsądkowi - mimo wysiłków porucznika na ziemi pozostawało wciąż mnóstwo sprzętu, głównie kuchennego, z którym znów w żaden sposób nie chcieli się rozstać... kucharz i jego pomocnik. „Zostawcie to wszystko w diabły i włączcie na wóz!” - krzyknął w reszcie wściekły oficer, „Ani nie wejdziemy na wóz ani sprzętu nie zostawimy, bo szkoda, tytko poczekamy aż pan drugi raz obróci” - odparł za siebie i za innych Filipowicz, „A ja wam doję rozkaz słyszycie?” „A ja tego rozkazu nie wykonam” - powiedział spokojnie kapral. Porucznik zrobił się siny: „Ja się z wami jeszcze, działonowy, policzę w jednostce” - zawołał na odjezdne.

Ledwie samochód skrył się za odległym wzniesieniem terenu, od strony nieprzyjaciela pokazała się trojka „Stukasów”. Szły w tym samym kierunku, w którym podążała ciężarówka.

Jeszcze chwila i zza wzniesienia wstało kilka wysokich słupów ognia. „Coś mi się zdaje - powiedział jeden z kucharzy - że musieli tam komuś nieźle dokitować”.

Po dwóch godzinach zobaczyli wracająca, ciężarówkę, z kabiny z trudem wydostał się kierowca Falkiewicz. Miał podarty mundur, zakrwawione ręce, sprawiał wrażenie człowieka, który niedawno przeszedł szok nerwowy. „Pan to masz szczęście, panie Filipowicz - powiedział. - Widział pan dwie godziny temu te trzy „Stukasy”? W nas popadły. Czterech zabitych, kilkunastu chłopaków rannych. Tylko wóz, cholera, wyszedł bez szwanku -było czym wozic na punkt opatrunkowy i na cmentarz”. Po chwili dodał: „A... porucznik... już panu krzywdy nie zrobi...”

Od tego czasu dawną baterie „włoską” nazywano w pułku „bateria śmierci”.

12 grudnia 1941 r. polskie „szczury Tobruku” opuściły twierdzę. Wydawało się wówczas kapralowi Filipowiczowi, że wojna jak gdyby się skończyła. A to był wciąż dopiero początek. Miał jeszcze cztery i pół roku przebywać na obczyźnie, przemierzyć jeszcze raz Egipt i Palestynę, stacjonować w Iraku, odbyć kampanię włoską, wystrzelić ze swego działa 2 tysiące pocisków w bitwie o Monte Cassino, aby wreszcie, bardzo okrężną drogą, przez Francję i Szkocję - wrócić do kraju.

Świat jest wielki, a jednak dwa razy w czasie wojennej tułaczki spotkał Zygmunt Filipowicz rodaków z małego Lubartowa.

Pierwsze spotkanie nastąpiło w 1942 r. w Palestynie. Z grupy żołnierzy przybyłych jako uzupełnienie do jego dywizjonu dało się słyszeć wołanie: „Panie kapral, panie Filipowicz, pan mnie nie poznajesz”? - a po chwili stanął przed nim młody człowiek z czarnymi oczyma i wydatnym nosem. „Pan mnie nie poznajesz?” - powtórzył z tym charakterystycznym akcentem, jaki cechował chyba tylko mieszkańców ulicy Klitki w rodzinnym mieście kaprała. „Nu, ja przecież jestem najmłodszy Rajchnudel, co mój tatuś miał księgarnię w Lubartowie...”

Drugie spotkanie miało miejsce w Szkocji, na początku 1947 r. W kolejce na pocztę Filipowicz zajrzał przypadkowo przez ramię jakiemuś starszemu szeregowcowi, wypełniającemu blankiet na wysyłkę paczki do Polski. Zobaczył adres: Zofia Lisek, Lubartów, ulica Mickiewicza... „Czołem kolego - powiedział do piszącego. A z których to Lisków? Bo ja z tych Filipowiczów, co na Krzywym Kole mieszkają. Znaczy się sąsiadami jesteśmy, prawie przez ścianę...”

W maju 1947 r. Zygmunt Filipowicz wrócił do Lubartowa. Od tamtego czasu prowadzi zakład fryzjerski przy ulicy Lubelskiej pod numerem 25.